

JAN E. ZAMOJSKI
(Warszawa)

KONRAD ŻEGOTA — MITYCZNY PATRON SZLACHETNEJ SPRAWY

A ja ... kiedy noc zapada ...
By wszystko wyrównać i zatrześć,
Dopadam do okna w ciemności
I patrzę ... żarłocznie patrzę ...
I kradnę zgaszoną Warszawę,

A kiedy mam dosyć zapasu
Na jutro, a może i więcej ...
Żegnam milczące miasto,
Magicznie podnoszę ręce ...
Zamykam oczy i szepczę:
— Warszawo ... odezwij się ... czekam ...

(Władysław Szlengel, *Okno na tamtą stronę*¹)

Przed kilkoma miesiącami ukazała się, by szybko zniknąć z półek księgarskich, książka Teresy Prekerowej *Konspiracyjna Rada Pomocy Żydom w Warszawie, 1942-45*. Wydał ją PIW w serii warszawskiej z „Syrenką”, jak zawsze bardzo starannie, z indeksem osób, zgrabnie dobranym zestawem ilustracji o dokumentarnej wymowie, bibliografią i aneksem sumiennie opracowanych edytorsko dokumentów. Książka ta przedstawia działalność tych, w Warszawie przede wszystkim, ale też i poza nią, którzy nie tylko odzywali się na wołania o pomoc płynące zza murów, zasieków i płotów gett i obozów pracy dla Żydów, ale też sami wychodzili im naprzeciw. Obejmuje ona fragment tego wielkiego obszaru walki z okupantem, którym było ratowanie Polaków żydowskiego pochodzenia, ale fragment szczególnie ze względu na zorganizowanie, na oficjalny charakter potwierdzony przez formalne i personalne związki z Delegaturą Rządu na Kraj i KG AK, na zróżnicowany pod względem motywacji politycznych i ideowych skład członków i współpracowników Rady, na jej dorobek, który stał się symbolem całości zjawiska pomocy Żydom. Konrad Żegota, wymyślony przez Zofię Kossak nieistniejący patron Rady, dał swe imię „akcji Żegota”, którą przyjęło się potocznie określić wszelkie ratowanie Żydów, niezależnie od tego, czy inicjowane przez RPŻ, czy też przez inne komórki podziemne. O rozległości zjawiska mówią choćby liczby — ponad dwadzieścia tysięcy ukrywających się w Warszawie latem 1944 r., z których tylko kilka tysięcy korzystało z opieki RPŻ. Statystycznie biorąc, co ósme mieszkanie warszawskie włączone było w łańcuch zmienianych z konieczności schronisk, zaś uratowanie jednego Żyda angażowało udział i bezpieczeństwo około 45 osób. Przy wszystkich mankamentach ocen opartych na tego

¹ Według tekstu w: W. Szlengel, *Co czytałem umartym*, Warszawa 1979, s. 59 n.

rodzaju „średnich” było to bardzo wysokie nasycenie¹, zwłaszcza jeśli uwzględnić całość podziemnej Warszawy, jej tysiące „nielegalnych”, „skrzynek”, „lokali” etc. etc. To kryterium musi być uwzględnione, niestety, przy wszelkich ocenach, obok kryterium terrorystycznej presji policyjnej okupanta. Niestety, gdyż dla większości zagrożonych przez antysemityczne ludobójstwo mury getta, te materialne, i te niewidoczne, stworzone między Żydami a nie-Żydami, dzieliły nie tylko miasto, lecz cały ich świat na dwa obszary, obszar poniżenia i śmierci, i obszar „normalnego życia”, bez względu na pozorność owej normalności. Tu właśnie miały swe przyczyny liczne kompleksy i tragedie lat ówczesnych i zrodzone z nich nieporozumienia istniejące po dziś dzień, a znajdujące wyraz w nierzadko bardzo krańcowo sformułowanych opiniach, w których gorycz i ból przeżyć i strat przesłania trzeźwą oceną polskich możliwości i dokonań Polaków².

„Jesteśmy bezsilni wobec niemieckich zbrodniarzy. Nie możemy bronić się sami, i nikt w Polsce nie może nas obronić. Władze Polski podziemnej mogą ocalić część spośród nas, ale nie mogą uratować masy ... Los 3 milionów polskich Żydów został przesądzony”. Od tych słów Leona Feinera, działacza Bundu i członka prezydium RPŻ skierowanych do kuriera Jana Karskiego (październik 1942 r.) rozpoczyna T. Prekerowa swą książkę. Jest w nich zawarty moralny dramat losu żydostwa polskiego, końca sześciowiekowej obecności na ziemi polskiej, w polskim życiu, polskiej kulturze. Zarazem jest to moralny dramat Polaków. Dramat, który znajdzie jeszcze kiedyś i czas, i formy dla wyrażenia się zarówno naukowego, jak i artystycznego, a więc duchowego, moralnego. Wówczas, gdy dystans historyczny i dojrzałość kulturalna pozwolą na bilans sześciowiekowego współżycia Żydów i Polaków, a raczej — Żydów i narodów zamieszkujących ziemię Rzeczypospolitej w zmiennych warunkach jej politycznej egzystencji i w całej ich złożoności. Los Żydów polskich jest bowiem najbardziej tragiczną częścią wielkiego procesu, który dokonał się w latach wojny, procesu zamknięcia dziejów wielonarodowościowej Rzeczypospolitej, z jej pluralistyczną w źródłach i nurtach kulturą, procesu „osamotnienia” Polaków, z którego konsekwencji jeszcze nie zdajemy sobie sprawy, chociaż jego skutki kulturowe już odczuwamy.

W siedmiu rozdziałach swej pracy Autorka pisze o stosunkach polsko-żydowskich przed wojną i w czasie okupacji, o genezie Rady, jej strukturze organizacyjnej i zasadach pracy na terenie Warszawy, charakteryzuje podopiecznych Rady i całość finansowej strony pomocy dla nich, omawia metody ukrywania i ratowania ich, działania zmierzające do wytworzenia przychylnego dla pomocy Żydom klimatu wśród społeczeństwa i zwalczania „szmalcownictwa”, poczynania RPŻ na terenach pozawarszawskich, przede wszystkim w Krakowie i Lwowie, ale też i w kilku innych większych skupiskach ludności żydowskiej (Lubelskie, Częstochowa, Radom, Piotrków, Pionki, Skarżysko, Łódź). W zakończeniu stara się ukazać ratowanie Żydów w Polsce na tle innych krajów, a raczej — porównuje rozmiary tych poczynań i ich wyniki.

Książka T. Prekerowej, w której Autorka wykorzystała zarówno istniejące

¹ Według W. Warmbrunn, *The Dutch under German occupation, 1940 - 1945*, London 1963, s. 189, w Holandii jesienią 1944 r. ukrywało się ogółem od 200 do 300 tys. ludzi. Co 30 lub 45 mieszkańców Holandii był więc „nielegalnym”. Dla Warszawy daje to zbliżony wskaźnik w odniesieniu do samych tylko Żydów, gdyż latem 1944 r. co najmniej co 45 nieniemiecki mieszkaniec stolicy był ukrywającym się Żydem. Ogólna liczba żyjących w Warszawie na nielegalnej stopie jest niemożliwa do ustalenia.

² Autorka bardzo oględnie i z dużym taktem, lecz krytycznie ocenia pod tym względem skąd inąd ważne dla niej źródło, wspomnienia V. Meed (*On Both Sides of the Wall*. Tel Awiw 1972), wówczas młodocianej łączniczki podziemnego kierownictwa „Bundu” (s. 103).

już publikacje, jak też wyniki własnych badań archiwalnych, stanowi podsumowanie dotychczasowej wiedzy, a bardziej może — dotychczasowych możliwości dokumentalnych w odniesieniu do Rady Pomocy Żydom i jej sfery działalności. Poza warstwą czysto poznawczą, w tym również dla wiedzy o realiach okupacji, daje ona bardzo dużo materiału dla refleksji, rodzi pytania i pragnienia dodatkowej informacji. Niezwykle wartościowe jest w niej nie tyle ustalenie struktur organizacyjnych, obsady personalnej poszczególnych funkcji, czy też kierunków działania, metod pracy etc., ile maksymalna uwaga dla strony ludzkiej, dla motywacji osobistych dla moralnego czynnika w tej szczególnej dziedzinie walki podziemnej. Była to bowiem walka, w której chodziło o przeciwstawienie się okupantowi w sferze, w której czuł się całkowitym panem sytuacji, w której chodziło o coś więcej, aniżeli wyłącznie o uratowanie jak największej istnień ludzkich. W grę wchodziło ratowanie sumienia narodu, obrona jego duchowego potencjału przed niszczącym, demoralizującym działaniem antysemitckiego ludobójstwa. Pojęcia „walka”, „akcja”, „odwaga” miały tu inny wymiar, inne formy przejawiania się. I jeśli pójść za cytowanymi przez Autorkę słowami E. Ringelbluma, który przyrównał każdego Żyda ukrywanego w polskim domu do „ładunku dynamitu”, to wciągnięci w akcję pomocy Żydom byli podobni do żołnierzy-saperów poruszających się stale po polu minowym. O tych sprawach Autorka mówi wiele, szczególnie w rozdziałach poświęconych bezpośredniej praktyce pomocy — lokowaniu w mieszkaniach dostarczaniu zasiłków, leczeniu chorych, a nawet — pomocy położnicom i grzebaniu zmarłych, przedstawiając liczne przykłady sytuacji, w jakich znajdowali się działacze RPŻ i ich podopieczni. Nic też dziwnego, że młodociane łączniczki RPŻ, kursujące od rana do wieczora między punktami kontaktowymi i podopiecznymi, stale zagrożone, przeżywające kryzysy nerwowe, miały zarazem, co bardzo słusznie odnotowuje Autorka, poczucie dużej przewagi duchowej nad swymi rówieśnikami z wojskowego podziemia, większej dojrzałości i użyteczności.

Sądzę, że najważniejszy poznawczo jest rozdział poświęcony powstaniu RPŻ, u schyłku 1942 r. Środowiska, ludzie, motywacje, różnice poglądów, trudności z pogodzeniem się niektórych prekursorów Rady, w tym Zofii Kossak, animatorki Frontu Odrodzenia Polski (FOP) i „Tymczasowego Komitetu Pomocy Żydom” z koniecznością nowych, zinstytucjonalizowanych rozwiązań w nowej sytuacji, stworzonej przez masową likwidację Żydów w lecie 1942 r., o wszystkim tym Autorka pisze rzeczowo, starając się zrozumieć motywy, wstrzymując się od ocen. Powściągliwość ta wydaje się nawet czasami nadmierna. Dla przykładu — zamieszczone w aneksie „Sprawozdanie z działalności Tymczasowego Komitetu im. Konrada Żegoty” (s. 359) wyraźnie wskazuje na istnienie znacznych różnic poglądów między członkami na polu społecznego Tymczasowego Komitetu Pomocy Żydom, ustępującego miejsca zoficjalizowanej Radzie a Delegaturą Rządu. Członkowie TKPZ mieli do DR pretensje nie tylko o nieproporcjonalną do rzeczywistych możliwości propagandę wokół akcji pomocy, ale też byli przeciwni uczestnictwu w Radzie przedstawicieli politycznych organizacji żydowskich (Bundu i zdominowanego przez syjonistów Żydowskiego Komitetu Narodowego), obawiając się, że motywacje polityczne mogą zniekształcić charytatywny charakter działalności Rady. Narracja Autorki nie uwypukla jednakże tej kwestii. Być może ona właśnie była jedną z przyczyn przeciągania się procesu „uzgodnień”, które wywoływał, wzmiankowane przez Autorkę, zniecierpliwienie kierowniczych czynników oficjalnego podziemia. A może też były inne, poważniejsze i bardziej skomplikowane? Zamieszczony przez Autorkę (foto 33) tekst „Protestu” Frontu Odrodzenia Polski (FOP) pióra Zofii Kossak prezentuje bardzo szczególne ujęcie stosunku Żydów w Polsce i motywów potępienia popełnionych na nich zbrodni. Zasluguje ono, jak sądzę, co najmniej na próbę wyjaśnienia lub komentarza. Przecież FOP odgrywał doniosłą rolę w powołaniu do życia Rady Pomocy Żydom, zaś jego czo-

łowi działacze, w tym Witold Bieńkowski, wchodzą do Rady, aczkolwiek, lub też — lecz z ramienia Delegatury ... Czy wyrażona w „Proteście” formuła ujęcia kwestii żydowskiej w Polsce była bez znaczenia dla ich pracy w Radzie, lub też czy ustępowała wobec tragicznej wymowy rzeczywistości? Pytań tego rodzaju nie można uniknąć. Nasuwają się zresztą w tym kontekście i inne, dotyczące np. właśnie Witolda Bieńkowskiego, jego osobowości, jego roli w FOP-ie i Delegaturze, przykrych, a raczej dramatycznych uwikłań w 1944 r... W innym miejscu pisze Autorka o kategorycznym zakazie ze strony DR używania przydzielonych Radzie subwencji na cele inne, aniżeli charytatywne, ściślej — na zakup broni dla getta. W jakimś sensie pozostawia nas Ona jednakowoż w sytuacji podobnej do ludzi z Delegatury, którzy mieli podstawy, by domyślać się, że ich zakaz został zlekceważony, lecz dowodów na to nie mieli... „Przypisanie sum do zwrotu” nikomu już dziś przecież za to nie grozi ... I jeszcze ... Relacjonując spór między RPŻ a Delegaturą o brak oświadczenia Delegata w rocznicę powstania w getcie Autorka jakby starała się, po latach łagodzić jego ostrość, przychyłając się do argumentacji Delegatury. A jednak rację miała chyba Rada. W tak ważnej politycznie i moralnie kwestii взгляд na ewentualne kwasy ze strony Stronnictwa Narodowego nie powinien zaważyć na decyzji Delegata. Również oświadczenie Delegata w Kraju miało zupełnie inną wagę i wymowę, aniżeli oświadczenie Rządu w dalekim Londynie.

Uwagę Autorki zwróciła malejąca obecność „tematyki żydowskiej” w polskiej prasie podziemnej okresu 1943-44, na brak echa w niej treści „Informacji Tygodniowej”, biuletynu referatu żydowskiego DR i wreszcie jego zanik. Szukając odpowiedzi skłonna jest widzieć tu zarówno ostrożność redakcji („nie przyciągać uwagi okupanta”), jak też natłok „pilniejszych tematów”, związanych z walką podziemną, z rozwojem sytuacji na frontach, wyścigiem wydarzeń politycznych. Identyczny problem wynikł przed paru laty w czasie sesji historycznej „Francja a kwestia żydowska 1940-1944”. Niemal jednobrzmiące argumenty spotkały się jednakże z bardzo gwałtownymi zarzutami i krytyczną oceną postawy tych, którzy uważali — jak to określano lapidarnie — iż „rozwiązanie globalne (zwycięstwo) załatwi też sprawę rozwiązania ostatecznego (Endlösung)”⁴. Sądzę, że przyczyny są tu bardziej głębokie. Stosunek do sprawy żydowskiej, poza humanitarnym — co należy tu bardzo mocno zaznaczyć, był w kierowniczych ogniwach podziemia oficjalnego wcale nie jednoznaczny. Dawaly się tu wyraźnie odczuć wyostrome przez niechęci i uprzedzenia echa postawy części ludności żydowskiej na byłych ziemiach wschodnich RP w latach 1939-41. Dokładniejsze zbadanie np. korespondencji radiowej KG AK z Londynem pod tym względem dałoby, jak sądzę, Autorce nieco materiału dla bardziej złożonych ocen, lub też co najmniej postawienie kilku znaków zapytania. Ten zespół uwag odnosi się również w pewnym stopniu do treści rozdziału pierwszego. Autorka bardzo ogólnie dotyka w nim kwestii trudności, które gromadziły się na styku społeczności polskiej i żydowskiej. Nie sprowadzały się one przecież tylko do stanowiska ugrupowań i środowisk nacjonalistycznych po stronie polskiej, które gorliwie eksploatowały wytworzony przez bieg historii, przez odmienności kulturowe, przez treść struktur i stosunków społecznych, politykę zaborców etc. obszar napięć i zagrożeń w odniesieniach wzajemnych. Istnienie takich obszarów jest zjawiskiem nieuniknionym we współżyciu dwu narodowości na tym samym terytorium, zwłaszcza przy tak licznych, tak ostro zaznaczających się i utrzymujących różnicach. Od kultury obu,

⁴ Por. *La France et la question juive, 1940-1944. Actes du colloque du Centre de Documentation Juive Contemporaine, 10-12 mars 1979*. Ed. S. Messinger, Paris 1981, s. 399 i in.

przede wszystkim zaś narodu-gospodarza zależy sprowadzenie ich do minimum i rozładowywanie wytwarzanych w nich napięć. Niestety, ten rozbijający destrukcyjne działanie odmienności i przekształcający je w czynnik wzbogacający, wiążący wewnętrznie całe społeczeństwo potencjał kultury nie zdążył się jeszcze w Polsce międzywojennej wytworzyć w dostatecznie wysokim stopniu, kultury we wszystkich jej sferach przejawiania się. Kultury wielkich zasad, a wśród nich — tolerancji. Tolerancji wynikającej z równości, a nie wyższości, z szacunku, a nie jawnej lub ukrytej pogardy, litości, czy też troski o aseptyczną czystość własnego sumienia.

Tym większa więc zasługa tych wszystkich jednostek, grup i orientacji ideowych, światopoglądowych i politycznych, które swym działaniem, jak członkowie i współpracownicy RPŻ, jak wszyscy w różnych układach organizacyjnych, uczestniczący w ratowaniu współobywateli żydowskiego pochodzenia dawali świadectwo tej kulturze. Swym działaniem tworzyli oni tradycję, która wzbogacając ją stała się zarazem trwałym czynnikiem jej rozwoju⁶.

•

Z kart książki wyłaniają się liczne sylwetki ludzi, którzy byli duszą RPŻ — Julian Grobelny, Tadeusz Rek, Ferdynand Arczyński, Władysław Bartoszewski, Emilia Hiżowa, Roman Jabłonowski, Janina Raabe-Wąsowiczowa, Ludwik Rostkowski, Zofia Rudnicka, Irena Sendlerowa, Stefan Sendlak, Tadeusz Sarnecki, Witold Bieńkowski... Socjaliści różnych odcieni, demokraci, ludzie o orientacji katolicko-społecznej, bezpośrednio lub pośrednio powiązani z ruchem komunistycznym... Ludzie kultury, lekarze, działacze związkowi. Przede wszystkim zaś — ludzie o głębokim poczuciu odpowiedzialności moralnej, odpowiedzialności społecznej. Ich współpracownikami i partnerami zarazem w Radzie byli przedstawiciele środowisk żydowskich — Leon Feiner z „Bundu”, Adolf Berman z „Poalej- Syjon lewica”, Szymon Gottesman- syjonista. Byli równoprawnymi członkami Rady, w tym nawet czasowymi jej kierownikami, na przełomie lat 1944-45. Tego rodzaju ciało, zgodnie działające, nie istniało w żadnym z okupowanych krajów Europy. I co najciekawsze — mimo bardzo różnych przekonań większość spośród nich, choć nie bez komplikacji, swą pasję społeczną, swą gotowość służenia innym przyniosła do nowych warunków powojennych, czynnie uczestnicząc w życiu publicznym. Obok nich liczne nazwiska łączniczek, „skrzynek kontaktowych”, gospodarzy lokali, w których ukrywali się Żydzi, w tym i powszechnie znane, jak np. Zelwerowicz nocujący u znajomych, gdy we własnym mieszkaniu już nie miał miejsca... Dziesiątki nazwisk ludzi, których poznajemy w ich działalności, w zetknięciu z niebezpieczeństwem, w reakcji na niespodziewane sytuacje.

Dysproporcje między rozmiarami potrzeb a możliwościami rozdziły naturalny problem — komu przede wszystkim pomagać? Dramatyczny problem, gdyż w istocie prowadził on do jego odwrotności — komu więc nie pomagać? Kogo pozostawić samemu sobie? Przed problemem tym stały wszystkie europejskie społeczności zagrożone zniszczeniem. Przyjęcie kryterium „wartości” takich czy innych kategorii ich członków, ich pierwszeństwa do uzyskania pomocy zawierało w sobie wielorakie, tragiczne i moralnie pustoszące konsekwencje. Przykładów do-

⁶ Dla ilustracji posłużę się tu ponownie przykładem Holandii, gdyż kraj ten cechowała najdalej chyba w Europie posunięta asymilacja i akceptacja przez środowisko społeczności żydowskiej. Tu właśnie, w lutym 1941 r. w Amsterdamie, miał miejsce jedyny w Europie strajk robotników w obronie Żydów. O tym, jak jednak wielkie niebezpieczeństwa istnieją na owych „obszarach stykowych”, mówią ustalenia historyków, którzy stwierdzają wyraźny wzrost w latach okupacji antysemityzmu czy też „postaw negatywnych” wobec Żydów. Por. Warmbrunn, o.c. s. 265.

starczą losy wielkich gett w Polsce. Moglibyśmy dorzucić, że ofiarą zaakceptowania tej zasady padło niemal całe żydostwo holenderskie, w kolejnych, dokonywanych przez tamtejszy Judenrat selekcjach. W jakiejś mierze jej odpowiednikiem, z zastosowaniem masy zastrzeżeń, był przyjęty przez władze Vichy i po części akceptowany, do czasu, przez żydowski establishment we Francji podział na podlegającą natychmiastowej deportacji ubogą masę emigrancką (głównie z Polski), i „zasiedziały”, korzystających, z bardzo względnej zresztą jak się okazało i mało skutecznej ochrony obywatela francuskiego. Trzeba było uświadomienia sobie totalności zaistniałego zagrożenia, rozwiania się iluzji i pojawienia zarysu prawdy, by w ostatnim okresie okupacji zrodziło się poczucie wspólnoty losu i jedności w obronie oraz by znalazło ono wyraz w organizacji i działaniu.

Autorka bardzo ostrożnie relacjonuje spór, jaki zaistniał wokół owej kwestii „kogo ratować?”, wywołany przez naciski ze strony organizacji żydowskich na ratowanie „najbardziej wartościowych”, początkowe uleganie im, wreszcie odrzucenie i zgodne przyjęcie wyłącznie kryterium potrzeb i możliwości, lub nie, ratowania się danej osoby własnymi siłami. Rozumiejąc wszelkie skrupuły Autorki sądzę jednak, że sprawa ta, właśnie z racji jej wielorakich implikacji moralnych, i nie tylko, zasługiwała na uważniejsze i szersze potraktowanie. I jeszcze — do gett w Polsce przywożono Żydów z innych krajów okupowanej Europy. Czy fakt ten znajdował się poza polem widzenia, a więc — wiedzy RPŻ, czy też, siłą reáliów — poza zasięgiem jej działania?

•

Pomoc szukającym ratunku Żydom sprowadzała się właściwie do trzech kwestii — mieszkanie, papiery, pieniądze. Najłatwiej było o te ostatnie, napływające z subwencji władz polskich, z darów organizacji żydowskich. Nie było ich wprawdzie dość, zaś wypłacane kwoty (ok. 500 zł na osobę) nie osiągały połowy minimum kosztów utrzymania, ale jednak pozwalały przeżyć. Dawały poza tym świadomość, może cenniejszą, opieki, pomocy, kontaktu, przelamywały beznadziejność osamotnienia. Porównując wielkości napływających i dzielonych sum starannie zestawionych przez Autorkę, dochodzi się jednakże do gorzkiego stwierdzenia, iż rosły one stale, i to znacznie, podczas gdy malała liczba tych, którzy mogli z nich korzystać. Zachowane archiwalia pozwoliły Autorce na ukazanie, z jak wielką pedanterią, rzeklibyśmy nawet — niebezpieczną (odczuwa to T. Prekerowa zaznaczając, iż nie stało się to nigdy przyczyną wyspy. Na szczęście!) prowadzili swe rachunki członkowie i współpracownicy Rady. Gdy po wielu latach odnalazły się pokwitowania gromadzone przez jednego z nich, udało się Autorce dokonać ich weryfikacji u podopiecznych, którzy przeżyli. Zamieszczone zdjęcia pozwalają przekonać się o autentyczności ówczesnych i aktualnych podpisów tych ludzi.

Papiery nie przedstawiały również szczególnej trudności. Zwłaszcza odkąd RPŻ mogła liczyć na Międzyorganizacyjne Biuro Dokumentarne Henryka A. Weissa, „upaństwowiony” na własne jego życzenie i przy poparciu RPŻ „prywatny” zakład wytwarzania fałszywych dokumentów, zaś po jego likwidacji przez gestapo — zakład jego współpracowników. Przekształcenie Żyda w Aryjczyka przy pomocy zestawu papierów było więc stosunkowo łatwe. O wiele większy kłopot stanowił wygląd zewnętrzny, stąd „aryjska” aparycja stanowiła najcenniejszy składnik nowej osobowości. Kto jej nie miał, lub nie mógł jej sobie nadać — skazany był wyłącznie na ukrywanie się. I tu właśnie pojawia się największe, najbardziej nasycone dramatami pytanie — gdzie ulokować zagrożonego? Właściwie sprawa mieszkania, zarówno w sensie najprostszym, jak też jako schronienia, kryjówki etc. była tu najważniejsza, była warunkiem przeżycia, ale też i nierzadko

pułapką. Przewija się ona w rozmaitym układzie, przez całą książkę, zaś odrębna partia jej poświęcona jest rozmaitym aspektom i sytuacjom nieustannej krzątaniny, która była śmiertelną walką o locum dla zagrożonego. Mieszkanie dla Żyda było bowiem zawsze połączone z groźbą dla jego gospodarza, dla całej jego rodziny, nierzadko i dla innych mieszkańców domu. Ów „dynamit”, do którego przyrównał Ringelblum ukrywanego Żyda, wybuchając, przy wpadce, niszczył cały dom. Według wyliczeń Autorki, co najmniej 30 tysięcy mieszkań warszawskich przeżywało, dobrowolnie i z pełną świadomością, tę groźbę, aczkolwiek podbudki ku temu nie zawsze wynikały z miłości bliźniego. I wiele z nich padło jej ofiarą, o czym również pisze Autorka przedstawiając różne przyczyny tych tragedii. Przypadek, donos, blokada i przeczesywanie całych osiedli, zwłaszcza inteligentkich, to były „normalne” powody wpadek. Były też zawinione przez samych ukrywanych. Nieostrożność... Odruch rozpacz... Nacisk nieznośnego stresu kryjówki... Oszołomienie pozorną normalnością życia „aryjskiej strony”... Nagły przyływ brawury lub też odwrotnie — nieopanowany strach w zetknięciu z Niemcem... Każdy błąd pociągał za sobą katastrofę. Autorka przytacza ilustrujące je przykłady, jak choćby owego dentysty, który poczuł się tak pewnie, iż zaczął prowadzić, w kryjówce, praktykę. Nalot gestapo zlikwidował wszystkich obecnych w mieszkaniu... Najboleśniejszy ślad pozostawiły jednak te zagrożenia, które nie pochodziły bezpośrednio od Niemców. Oko szmalcownika przenikało ściany domów, wyławiało z tłumu każdy podejrzany rys twarzy, gest, odruch, ucho — chwyciło ton głosu, akcent, charakterystyczne zwroty... Pojawiły się całe gangi szantażystów i dobrowolnych „łapaczy”. Przytaczając nazwiska Autorka opisuje walkę ze szmalcownictwem, nacisk, jaki kładła RPŻ na nadanie jej szczególnej pilności oraz rozgłos dla wyroków sądu podziemnego. Okazały się one, według niej, skutecznym ostrzeżeniem i hamulcem.

Bohaterem książki Pani Prekerowej jest warszawska Rada Pomocy Żydom, a więc przede wszystkim działalność jej na obszarze stolicy. Jednakże zadania RPŻ w intencjach DR, objemowały całą okupowaną Polskę. Próby spełnienia ich stanowiły tylko fragment wysiłków Rady i dały pewne skutki w odniesieniu do Krakowa i Lwowa, gdzie zresztą powstały miejscowe jej odpowiedniki. Bardzo interesujące natomiast z innych względów są przytaczane przez Autorkę relacje wypraw emisariuszy Rady, przede wszystkim T. Sarneckiego z przysłą jego żoną, Ewą do poszczególnych skupisk żydowskich, zwłaszcza na Kielecczyźnie. Niebezpieczeństwa podróży, trudności dotarcia do gett i obozów pracy, nieufność, wprost groźna dla wysłanników, ze strony ich mieszkańców, o wszystkim tym czyta się z uwagą i napięciem. Opisy te odbiera się jak opowieść o wyprawach w głąb jakiegoś obcego i na poły dzikiego interioru. Towarzyszy im refleksja o tym, jak bardzo Warszawa, pod każdym względem, przytłoczyła wiedzę o życiu, cierpieniach i walce innych miast i regionów Polski, narzucając całości spraw ówczesnych swoje stereotypy. Jak mało też wiemy o tym, jakie były losy dziesiątków mniejszych gett i obozów. I jeszcze druga refleksja, związana z opisem sprawy krakowskiej „Judische Soziale Selbsthilfe” przekształconej, po likwidacji w „Jüdische Unterstützungsstelle” (JUS) dr M. Weicherta, instytucji wykorzystywanej przez Niemców dla kamuflażu ich akcji eksterminacyjnej i przechwytywania napływającej legalną drogą pomocy żydowskich organizacji międzynarodowych. W wielu krajach okupowanej Europy działały podobne, inspirowane przez Niemców instytucje. Wchodziło to w skład ich taktyki. I przyznać trzeba — skutecznej. Docierającym z Polski raportom — polskim i żydowskim nie wierzono, nie potrafiono uwierzyć czy też — nie chciano uwierzyć, ze względu na kroki, jakie trzeba byłoby — wierzysz — podjąć. Nie wierzono też ostrzeżeniom odnośnie do instytucji Weicherta. Można byłoby zgodzić się z utrzymaniem tej drogi, gdyby wysyłający pomoc zakładali, że owe 15-20% towarów i kwot dociera-

jących do potrzebujących usprawiedliwia utratę pozostałych. Jednakże, jak wynika z ocen Autorki, nie kalkulowano, lecz po prostu pozwalano się oszukiwać. Niechęć do uwierzenia w tragiczną prawdę jest niezwykłą siłą...

Książkę swą kończy Autorka zwięzłym porównaniem losów Żydów w Polsce i w innych krajach Europy, przede wszystkim — okupowanej. Stosownie podkreśla ona odmienną celów okupacji, a więc i jej metod. Odnoszę jednak wrażenie, że ta odmienną sytuację ludności żydowskiej w Polsce i w krajach okupowanej Europy, przede wszystkim Francji, Belgii i Holandii wymaga mocniejszego uwypuklenia i pewnych uściśleń. Akcja „Endlösung” nie objęła w 1942 r. Danii, zaś w momencie zagrożenia prawie wszystkich Żydów duńskich uratowano przewożąc ich do Szwecji. To oni przede wszystkim podwoili niemal wskaźnik ludności żydowskiej w tym kraju po wojnie. W trzech zaś wymienionych wyżej krajach, gdzie Niemcy starali się zastosować w pełni plany eksterminacyjne, należy widzieć, przede wszystkim zaś we Francji, zróżnicowanie sytuacji i losu Żydów osiadłych tam od pokoleń i napływowej masy emigrantów z Europy Wschodniej i Południowo-Wschodniej, co pokrywało się ze zróżnicowaniem społecznym, kulturowym a nawet politycznym. Utrzymanie przez Niemców narodowej administracji tych krajów w niewielkim stopniu wpływało na złagodzenie polityki terroru, było wkalulowane w politykę okupanta. W Holandii wskutek tego można było przeprowadzić deportację Żydów do obozów z minimalnym użyciem gwałtu. Sami zgłaszali się do punktów zbiorczych... W Belgii policja miejscowa była używana dla akcji antyżydowskich. We Francji całość operacji, a więc rejestracja, „sfiszkowanie” w przemyślnych kartotekach, ujęcie, internowanie aż po przekazanie w ręce niemieckie osiemdziesięciu pięciu kolejnych transportów z obozów przejściowych odbyła się rękoma francuskich służb policyjnych. Siłami swej policji przeprowadzili Niemcy zaledwie jedną łapankę w Paryżu... A więc nie tylko stłoczonych na Vel d'hiv (nie był to nb. obóz, jak pisze Autorka, lecz miejsce zwózki i selekcji wstępnej ujętych w lipcowej łapance w 1942 r.), ale wszystkich schwytych przez siebie Żydów pilnowali policjanci francuscy. W Holandii, społeczności żydowskiej nie obciążały żadne ujemne nawarstwienia historyczne, obyczajowe, religijne. Odwrotnie, w optyce kalwińskiej korzystała ona z dobrodziejstw biblijnego starszego brata. Tu jednak z 20 tysięcy szukających ratunku w nielegalności ocalało zaledwie około 8 tysięcy, w tym połowę stanowiły dzieci, najłatwiejsze do ukrycia. Z dużymi oporami można stosować wskaźniki do tak nasyczonej tragedią materii. Jeśli jednak uczynić to, wówczas dla Holandii procent uratowanych będzie nieco niższy od 5. Dla Polski, tylko wliczając ocalałych na terenie okupowanym, wyniesie on, według danych Autorki, około 3,5. A przecież różnice między sytuacją okupacyjną obu krajów, między sytuacją w nich ludności żydowskiej nie mieszczą się w żadnym stopniu w owym jednym z ułamkiem procenta, dzielącym oba wskaźniki... Nie można przyjąć żadnej wspólnej miary, którą dałoby się zmierzyć wysiłek włożony w uratowanie każdego holenderskiego czy polskiego Żyda przez ich współobywateli. Żadnej, poza jedną — potencjałem śmierci, która za to groziła. I ona dopiero ukazuje nam właściwe proporcje... Naturalnie, o ile przyjmujemy, że życie i śmierć mają ten sam wymiar ostateczny na wschodzie i zachodzie Europy. Opinie niektórych historyków zachodnich mogą prowadzić do innych wniosków.

Uzupełnieniem pracy Pani Prekerowej jest zestaw dokumentów, po części publikowanych już, po części udostępnionych po raz pierwszy. Dotyczy to zwłaszcza zachowanych dokumentów komórki „Felicja” Maurycego Herling-Grudzińskiego, dających m. in. wgląd w finansową stronę działalności opiekuńczej. Zestaw ten, starannie dobrany, pozwala Czytelnikowi wyrobić sobie własny obraz działalności RPŻ i własny sąd o niej.

Książka Teresy Prekerowej nie jest dziełem historyka-profesjonalisty. Stąd

może jej luki, których parę zasygnalizowałem. Przyjęta metoda narracyjna, operowanie nazwiskiem, zdarzeniem mieszczącym w sobie syntezę jakichś zjawisk ogólniejszych pozwala na pełniejszy odbiór prawdy o ówczesnych sprawach. Jednakże miejscami odczuwa się potrzebę bardziej analitycznego podejścia. Dla przykładu, treść książki nasuwa pytanie — jakie miejsce zajmowała pomoc dla ludności żydowskiej w całokształcie akcji pomocy społecznej DR? Jak wyrażało się to w wielkości środków? W wynikach? RPŻ była przecież wyspecjalizowanym, używając współczesnych określeń, organem polityki społecznej podziemnego państwa. A to narzuca pewne konsekwencje w ocenie jej działalności.

Ograniczenie się do wyczenia zalet książki Pani Prekerowej byłoby jej zlekceważeniem. Stąd treść powyższych uwag i refleksji. Spełnia ona swą rolę nie tylko poznawczą, ale też wychowawczą i, rzekłbym, moralną. Przede wszystkim ze względu na sprawę, której jest poświęcona, ale też z racji ludzi, których działalność ukazuje.

¹ J. T. Gross w swej „*Polish Society under German occupation*, Princeton 1979 (s. 245 n.) podaje, iż na cele opieki społecznej DR przeznaczala w 1943 r. 2 004 520 dolarów, zaś w 1944 r. ca 4 000 000. (O ile utrzymano identyczne proporcje z oświatą, jak w 1943 r.). Stanowiło to ok. połowy całego budżetu Delegatury. Przy kursie ok. 100 zł za dolar dawało to kwoty ponad 200 mln zł i ok. 400 mln zł w skali rocznej. RPŻ dysponowała w 1943 r. kwotą 8 522 tys. zł i w 1944 r. — 25 540 tys. zł (według ustaleń T. Prekerowej s. 124). Kwoty te, co należy podkreślić z naciskiem, stanowiły tylko część sum idących na cele pomocy Żydom bądź to bezpośrednio przez organizacje żydowskie, a otrzymanych przez nie polską drogą kurierską, bądź przez inne organizacje polskiego podziemia.